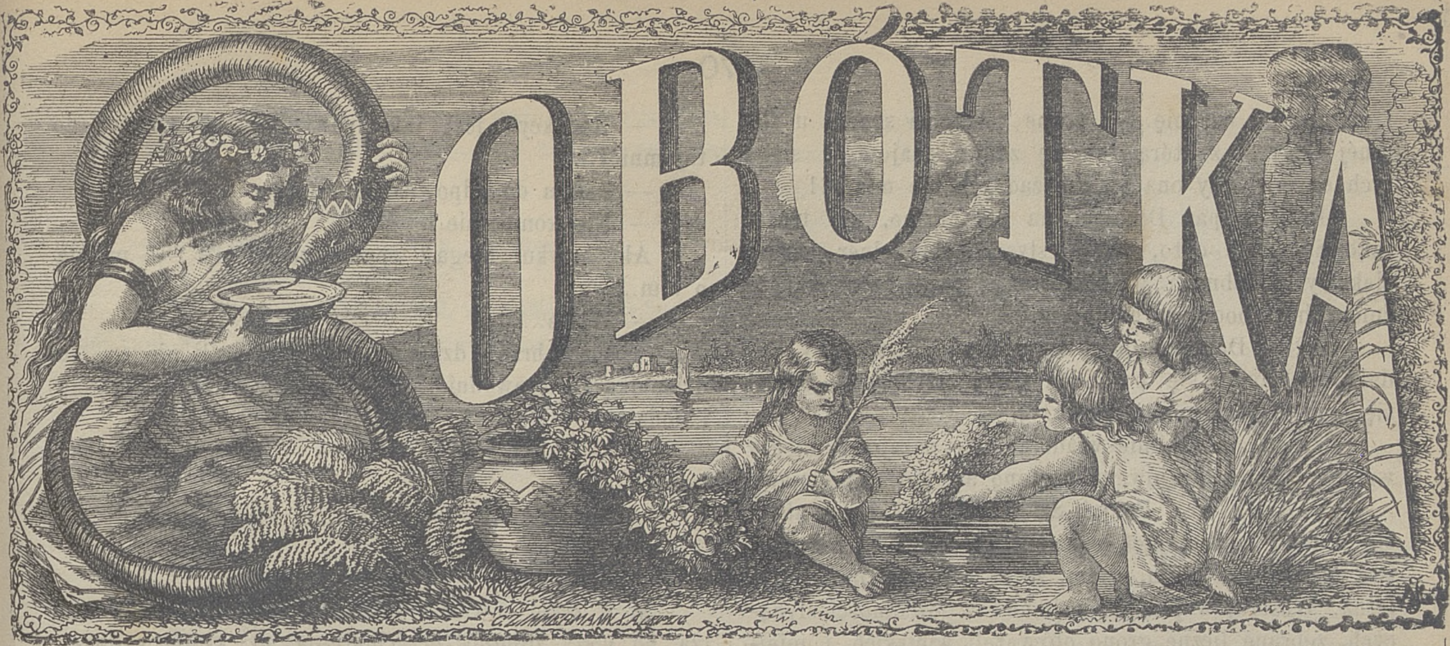


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 21. Poznań, dnia 22 Maja 1869. Rok. I.

W MĘTNÉJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

Słowem odbyło się to nadzwyczaj pięknie, wesoło i zgodnie, tak, że Sławek był w uniesieniu, bo mu się zdawało, że człowiek jest zawsze jeden, że zapał trwać będzie nieśmiertelnie, że się jutro wszyscy z tak bijącemi sercami obudzą... P. Damian wyszedł pocichu ku końcowi wieczerzy, aby zdać sprawę z posłannictwa Redaktorowi... i już wpół drogi osnuł cały plan opowiadania. W kątku pustéj restauracyi oczekiwał nań Drabicki, gryząc paznokcie... Po twarzy poznał zaraz, że rzeczy niebezpieczny obrót przybrały... P. Damiana prócz tego czuć było strasznie węgrzynem...

No — a cóż? co?

— Napiłbym się co lekkiego? pół butelki szampanki z lodu? co mówisz? zagadnął p. Damian.

Skrzywił się Drabicki, ale w nadzwyczajnych wypadkach trzeba być przygotowanym na nadzwyczajne wydatki, kazał podać pół butelki. Uderzyło to nieprzyjemnie p. Damiana, że tak ściśle do zbytku wzięto jego wniosek, gdy właściwie, mówiąc o pół butelce, rozumiał przez nią całą...

— Cóż się stało? spytał Redaktor...

— No — tak dalece nic...

— Rozeszło się?

— Właściwie nie...

— Mówże, jak to było?

— Dziwnie, zaraz z początku wzięto się do podpisów na kapitał zakładowy.

— I o to się rozeszli? śmiejąc się, spytał Drabicki.

— Otóż nie... choć i ja wnosiłem, że tak będzie... podpisali się na... dwadzieścia kilka tysięcy...

Redaktor pobladł.

— Ale nie złożyli? spytał.

— Nie... o! nie.

— No! to jeszcze pół biedy...

— Młyńskiemu narzucono redakcyą, popili się... zdrowiów mnóstwo! hałasu dużo...

— Młyńskiemu redakcyą! powtórzył, zamyślając się Drabicki — no, to dobrze. Młokos jest, szparki, w trzecim numerze kraj sobie narazi i koziołka wywinie... Przytém chciał coś powiedzieć, ale urwał, pozostawiając tajemnicę przy sobie — począł potém rozpytywać o osoby, o ducha zgromadzenia, o usposobienia... P. Damian nie kłamał, starał się jednak zbyt gorzkie pigułki poosładzać...

Mieli się rozchodzić już, gdy Redaktor zmarszczony rzekł głośno.

— Człowiekowi, który publiczny daje skandal swém postępowaniem, powierzają redakcyą tego swego pisma, które ma bronić prawych zasad!

— Kto? Młyński.

— A cóż to, WPan nie wiesz? żyje z aktorką, bałamuci hrabinę Wartską, która za nim szaleje, że zmysły traci, a stara się o jéj córkę... Śliczna moralność! piękny mi człowiek do prawienia kazań i prowadzenia drugich...

— Ale to nie może być! to nie może być, przerwał Damian...

— Dla czego? że ty ślepy jesteś? podchwycił Drabicki — on się jeszcze wcale z tém nie kryje... Codzień siedzi, obiaduje, rządzi w domu hrabinéj, obie bałamuci

i mamunię i curunię... a późne wieczorki spędza u ślicznéj Leny... z którą. jak się zdaje, znajomość sięga tych czasów, gdy ona jeszcze żadnych nie miała!!

Mówił to pan Drabicki na pół głośno, nie troszcząc się wcale o to, że go słyszał oberkelner bardzo ciekawy podobnych wiadomostek i parę osób przypóźnionych w bocznym gabinecie.

Gdy p. Damian dopił szampana... zamyślony Redaktor wysunął się po cichu szukać Izydora... Chciał się jego złotém piórem posłużyć.

Czy go znalazł, nie wiadomo, ale nazajutrz między wiadomościami krajowemi czytano artykuł następujący.

(Nadesłano). Pozwól Szanowny Redaktorze, abym się z tobą pocieszającą podzielił wiadomością. Znając twą miłość dla kraju, wiem, że ci być nie może obojętną. Wczoraj w jednym z domów z gościnności słynących, zebrane liczne grono obywateli wiejskich i miejskich, obchodziło uroczyście zakładziny nowego Dziennika. Wprawdzie my ludzie starsi i nałogowo do naszych dawnych przyjaciół przywiązani, nie czujemy tak gwałtownéj potrzeby wysypywania pieniędzy na czcze mrzonki, gdy tyle ich biedna nasza ojczyzna na zakłady pilniéj dobro ogólne obchodzące wymaga — ale zawsze objaw ten troskliwości o kraj... o swobodne pewnych opinii wynurzenie się, jest pocieszający.

„Wprawdzie, wielebyśmy jeszcze — ale — przeciwko tak ochoczo osnutemu planowi znaleść mogli, wstrzymujemy się jednak... pewni, iż praktyka niedługo okaże, iż nie zawsze dobre chęci bywają dobremi pomysłami. — Przez wszystkie doświadczenia nasz biedny kraj przejść musi, zanim będzie mądrym po szkodzie. Niech też i gorąca młodzież na cudzoziemskich, kosmopolitycznych doktrynach wychowana i chcąca je aplikować na naszém schorowaném ciele.. spróbuje sił swych. Zdrowe tradycye i ogólne poczucie obywateli... przemogą. Wymieniano nam już nawet imię młodego, pełnego talentu Redaktora, który jest mało z krajem obeznany, niewiele z życiem, ale za to może się poszczycić sympatyami w różnych sferach społeczeństwa... Chcemy wierzyć, że je winien nie saméj powierzchowności miléj i urokowi młodości, ale i innym zaletom duszy i serca. Szczęść Boże! Sprawozdania teatralne i nowiny z salonów miejskich, kronika Krakowa, będą redagowane kompetentnie."

Jakkolwiek artykulik był drobno wydrukowany, już go nazajutrz sobie z rąk do rąk podawano. — Każda złostka robi wrażenie, a choćby nie była dowcipną, ujdzie za nią łatwo. Artykuł obiegał całkie miasto, a Drabicki uznał właściwém na parę dni za interesami wyjechać. — Tylko najpoufalsi przyjaciele jego wiedzieli, że siedział zamknięty w swoim gabinecie, przysłuchując się wrażeniu, jakie uczyni.

Około południa przybiegł tylnemi drzwiami p. Damian z raportem...

— Źle się święci! rzekł — obywatele oburzeni, niektórzy kijem się odgrażają, a młodzież mówi, że Sławek cię wyzwie!

— Mnie? to nie wyjdę! rzekł zimno Drabicki, ja artykułu nie pisałem, jest nadesłany.

— Spytają, kto ci go przysłał.

— Redakcya jest jak spowiednik obowiązaną do tajemnicy...

— Zatém do odpowiedzialności?

— Nie koniecznie...

Ale, artykuł biega? spytał po chwili — mówią o nim...

— Wiele...

— To dobrze! dziennik zabity a jeśli nie on, to dziennikarz niezawodnie... To mówiąc, uśmiechnął się i dodał:

— Wiesz, że wczoraj jeszcze — wczoraj! wyjechałem na wieś...

— Rozumiem! odparł Damian, i wynoszę się...

Są w życiu chwile i położenia, najczęściéj jak burza po ciszy długiéj przychodzące — które z duszy człowieka dobywają mimowolnie pytanie poety — Sen to czy jawa?...

Wśród zwykłego, prozaicznego najczęściéj trybu życia, jak grabarz w kopalni na żyłę złota, trafia człowiek na coś niezwyczajnego, niepodobnego do wiary, przechodzącego rozmiar jego sił powszednich... i staje nieumiejąc rzeczywistości zmierzyć.

Łatwiej jest może w takim wypadku znieść niespodziankę bólu i trudu, niżeli szczęścia i słońca.. Do pierwszych zawsze dusza trwogą wewnętrzną jest przygotowaną, do drugiego... niemamy prawa... wiemy, że to chwilowy tylko wyjątek... Od bólu człowiek umiera, a od radości szaleje.. nie jednego też ona tak dobrze zabić umiała jak cierpienie

Takim niesłychanym wypadkiem w życiu spokojném, umiarkowaném, poważném Sławka było spotkanie z Leną, z owéj sierotki łzawéj, wyrosłéj na niewiastę mężną, wyeksaltowaną i silną aż do lekceważenia ludzkiego szyderstwa...

Czysty młodzian niemógł inaczéj tego objawu współczucia od niéj przyjąć, tylko sercem czystém, spokojném i z wiarą, że je budziła wyidealizowana wdzięczność, potrzeba ducha, który do czegoś przywiązać się, coś uszanować łaknie. W jednym z charakterystycznych listów swych poufnych — biedny śpiewak Przedświtu, pisał do przyjaciela... „Człowiek tak w coś wierzyć potrzebuje, tak kochać coś żąda, iż w końcu gotów dać się uwieść bałamuctwu i zakochać w zalotnicy." — Łagodzim wyrażenia.

Sławek też eksaltacyą Leny przypisywał instynktowo téj serca potrzebie, a mówił sobie — przekona się, żem tylko słabym człowiekiem i złudzenie jéj zniknie. Ale w rozmowie z nią mimowolnie poczuł gorące jéj uczucia, przelewające się w pierś swoją, dał się pochwycić, uniósł się i w téj dobréj chwili ofiarował jéj serbskie owe pobratymstwo...

Podał jéj rękę jak siostrze i niezważając wcale na to, czy kto patrzy, czy ich słucha, nie myśląc, co ludzie na to powiedzą... Sławek odezwał się — odprowadzę cię do domu, pokażesz mi jak mieszkasz... powiesz mi, jak ci upłynęło życie... jesteśmy bratem i siostrą, wszystko mi się to należy.

Lena uśmiechała mu się łzawo — dobrze! dobrze! wołała... o! chętnie! brata nie miałam, byłam długo

sierotą, Bóg mi dał tę chwilę za całe życie oczekiwania... ale dla ciebie... dla ciebie... dla ciebie... jeśli nas spotkają?

Sławek ruszył ramionami.

— Powiemy, żeśmy siostrą i bratem...

— A jak nieuwierzą?

— To im pozwolim szukać, co zechcą i szydzić, jak się podoba... z tém tylko, że pierwszemu, którego posłyszę, dam naukę obyczajności.

Lena posmutniała — No — lepiéj nie mówmy o tém... wszak jeszcze niema nic, a potém... zobaczymy! Na trzeciém piętrze w kamieniczce nie opodal od teatru mieszkała biedna dziewczyna..

— Wstyd mi będzie, rzekła, i mojego mieszkania i ubóstwa. Kobiecie nędza urok odbiera... ale siostra powinna go mieć dla brata, nawet gdy jest bardzo nieszczęśliwa i zbiedzona! Nieprawdaż?

Sławek się uśmiechnął. — Ubóstwo bywa czasem promieniste, poetyczne...

— Tak, odparła kobieta, w powieści, a w rzeczywistości!! Ale chodźmy...

Mrok już gęsty okrywał ulice, gdzie niegdzie tylko pozapalane latarnie mdło wpośród wilgotnego powietrza błyskały... Uliczka, na którą weszli, nie była wdzięczną... Na dole w kamienicach żydowskie sklepiki jeszcze oświecone... na piętrach na przemiany jasne okna i całe szeregi czarnych otworów tajemniczych... W bramach kupkami pozbierani ludzie, na chodnikach gdzie niegdzie przesuwające się, nieodgadnione postacie. Przez sieni czarne... weszli na wschody oświetlone słabo i wcale niewytworne. Kamienica była bardzo uczęszczaną znać, gdyż stopnie drewniane mocno zużyte, chwiały się pod stopami. Na drugiém piętrze było gorzéj jeszcze, a ku trzeciemu wiodły już węższe i gorsze coraz wschódki... Ale Lena je przebywała, nawykła, pośpiesznie i poprzedzając chwilkę Sławka, otworzyła drzwi swe, natychmiast prawie zapalając świecę na kominie... Nim się miał czas rozpatrzeć nieco, pręciuchno schwyciła jeszcze jeden lichtarz.. ustawiła go na stole, a sama zrzuciła na sofkę chustkę i kapelusz...

Naówczas dopiero przy świetle jasném twarz jéj mógł lepiéj zobaczyć Sławek; ale dziwnym fenomenem, chociaż o mroku nie rozeznawał rysów, przeczuwał je takiemi właśnie, jak znalazł... Idea odpowiadała rzeczywistości, Lena miała postać piękną.. rysy wyrazu pełne, ale zmęczone wcześnie... oczy gorączkowo gorejące, usta bólem i szyderstwem jakby wyżarte. Pociągającego coś i strasznego było w niéj razem... i — jakeśmy mówili — coś niemal oszalałego...

Pokój, w którym go przyjmowała, ubogi, czysty, był bardzo obszerny... Pod oknem stały kwiaty nagromadzone.. w kątku mały, stary stolikowy fortepianik... na wielkim stole przed sofą nagromadzone były bezładnie nuty, rysunki, albumy i książki.

Ale nie były to oprawne wytwornie owe zabawki pospolitych salonów, skazane na pył, zapomnienie i posługę w dystrakcyach... były to nie książki arystokratyczne, co się nie czytają, ale te poczciwe, pracowite, skazane na zagubę, podarte, odrapane, bez okładek, rozszyte, pozakładane, poplamione, które są w istocie książkami — żołnierzami ginącymi dla sprawy oświaty.

Niewiem jak kto, ja dla brudnéj książki mam szacunek, jak dla starego gwardzisty, który wiele ran odniósł w boju — książka odpoczywająca na półce, zanumerowana, z którą się trzeba obchodzić ostrożnie, do któréj dostąpić trudno... obudza we mnie wrażenie nieboszczyka spoczywającego w mundurze, w numerowanéj katakumbie.

Co mi po takiéj nieboszczce... która nie świeci i nie grzeje!

Na stole u Leny.. pełno było tego rycerstwa, bez nóg, bez rąk, bez głów i poranionego okrutnie. — Był to stolik do pracy nie na okaz... tak jak salon był dla niéj, dla przyjaciół, nie dla gości... W głębi drzwiczki wiodły do sypialnéj izdebki... naprzeciw miała drugą służąca.

Piękna Lena tym, co na nią rzucali potwarze, mogła z dumą pokazać swe mieszkanie, otworzyć szafki a —inwentarz jéj ubóstwa był najlepszém uniewinnieniem.

Mieszkanie w istocie podobniejszém było do studenckiego, niż do.. apartamentu artystki... Żaden u nas wprawdzie na wiele więcéj zebrać się nie może... ale uczciwy i sumienny mniéj ma, niż ci, którzy płocho pojmując życie, spożywają je w młodości... na późniéj suche zostawując łupiny.

Lena, o któréj głupcy pletli co chcieli, raz wszedłszy na tę drogę artystyczną, ukochawszy sztukę... poświęciła się jéj cała i niezważała nawet na to, co z nią nie było w związku... Nie troszczyła się o to, gdy u niéj który artysta przesiedział wieczór do późna, gdy z nią chodził częściéj i pokazywał się publiczności. — Jeśli w kim poczuła serce, znalazła umysł, który się jéj zdawał wyższym — nie wahała się ani mu okazać współczucia, ani potém odepchnąć, gdy z niego chciał korzystać śmiesznie i zarozumiale.

Im rzadszym u nas jest artysta, szczególniéj dramatyczny — im zjawisko to w naszém społeczeństwie, trudniéj się mieści we właściwéj sobie sferze... tém Lena obudzała większy podziw, mniéj była zrozumianą... i życie jéj było twardszém...

Teatra nasze mają utalentowanych ludzi, ale talent a nawet miłość sztuki rzadko idą w parze z wykształceniem, z umysłu wyrobieniem — są instynktem szczęśliwym, nic więcéj.

Za kulisami ci, którzy się nam wydali tak znakomitymi na scenie, tracą niezmiernie, często z podziwem spotyka się mierność i nieuctwo — obok intuicyi artystycznéj, znakomitéj.

Lena nie od razu trafiła do teatru, i może dla tego teraz była... lub sposobiła się zostać artystką w całém tego wyrazu znaczeniu. Co to jest być na łasce ludzi, na miłosierdziu ich i opiece?? Sierotkę po śmierci matki oddano do jakiéjś szkółki, ale za nią płacono szczupło, a dziecko miłosierdzia zawsze bywa służką dzieci szczęśliwych i możnych Uczono wprawdzie Lenę czegoś i obchodzono się z nią bardzo surowo, ale... musiała być kopciuszkiem i po troszę niewolnicą. Osamotnienie, które zabija na pustyni, wśród ludzi czasem dźwiga, budzi do współzawodnictwa, dodaje bodźca.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dziki królik (Lepus caniculus.)

(Z ryciną.)

Jak praojcowie sprowadzali olendrów do zaludnienia puszcz nieprzebytych, tak my w nowszych czasach przywieźliśmy sobie z zagranicy do ożywienia przerzedzonych lasów króliki. Korzyści, jakie nam pierwsi przynieśli, dostatecznie oceniły nasze dzieje, natomiast o drugich mało dotąd pisano, choć ważną w naszém gospodarstwie odgrywają rolę. Nie zamieszkały one jeszcze całego kraju, ale już kilka w nim pustoszą okolic, kilku też obywateli tego roku zaprowadzić je u siebie zamyśla, a nadto same z dniem każdym coraz daléj się rozchodzą. To też nie tylko myśliwi, ale i gospodarze leśni i polni powinni bliższą zawrzeć z niemi znajomość. Nadobne zaś i łaskawe czytelniczki Sobótki o tyle tylko tą zwierzyną interesować się mogą, o ile coraz bardziéj wzmaga się obawa, że z czasem wyginą zające, a więc i skórek do przesyłania mężnym bohaterom zapiecowym zabraknie.

Lecz wprowadźmy na scenę kawalera, który w naszych lasach modnym być zaczyna! — Ach, co za ładne zwierzątko! — odezwą się panie. — Zupełnie podobny do zająca — zauważą panowie. — Że królik ładném jest zwierzątkiem i że podobnym jest do zająca, przyznaję, lecz piękność i pożyteczność nie zawsze w przyjacielskim stoją do siebie stósunku, a zewnętrzne podobieństwo czasem rozmaite mieści w sobie charaktery, rozmaitą wewnętrzną pokrywa wartość.

Królik dziki jest mniejszym od swojskiego, a znacznie mniejszym od zająca, a na dowód, że jest mędrszym, a przynajmniéj przebieglejszym, nosi słuchy krótsze, mniéj porosłe tchórzycą. Również znacznie krótsze ma on tylne skoki, dla czego kokieternie wyrzuca tyłem. Kolor jego odzieży jest ten sam, co u szaraka, ale na grzbiecie charakterystycznie w ciemno-bismarkowski wpada odcień. Dla igraszki przyroda królikowi dzikiemu czasem czarną daje odzież, nigdy przecież nie przyobleka go ni w białą, ni w pstrokatą szatę. Białe z czerwonemi oczyma króliki swojskie są wynikiem zniewieściałości, z czegoby wnosić można, że i ludzie biali (a mówię tu o białych w zasadach) też przez zniewieściałość ducha powstają. Królik swojski, jak kameleon, w rozmaite przyodziewa się farby, gdy jego protoplasta, królik dziki, gardzi zmianą koloru.



Dzikie króliki.

Charakter znów i sposób życia tak odróżniają królika od zająca, że go już zaliczano do zupełnie osobnéj zwierząt rodziny. Gdy zając w związkach małżeńskich regułę Machometa wyznaje, królik ściśle się trzyma jednożeństwa. Pierwszy nie troszczy się też wcale ani o żonę, ani o potomstwo, gdy drugi wiernym jest małżonkiem i czułym ojcem. Królik w konkurach bardzo jest pociesznym. Czy między niemi ślub cywilny wystarcza, czy są dozwolone rozwody, lub też raz zaślubiona para do zgonu wierną sobie pozostaje, dotąd nie sprawdzano. Przypuszczać jednak można ostatnie, gdyż zaślubiona para wspólne natychmiast buduje sobie, jeźli gotowego nie znajdzie, mieszkanie, a więc za wiele na chwilowe tylko połączenie podejmuje pracy. Mieszkania te są to nory do lisich podobne, ale daleko szczuplejsze. Zwykle zauważamy je na brzegu lasu, w górzystém położeniu, w ziemi lekkiéj. Głębokość ich czasem trzy łokcie a nawet i więcéj wynosi. Oprócz otworu wchodowego są i wychodowe, a w ich wnętrzach czasem się jeden, a czasem i więcéj kociołków, czyli gmachów mieszkalnych znajduje. Królik nie zapomina o tém, że jest królikiem, a więc jako królewska wysokość jednym pokojem zadowolnić się nie może. W gmachach tych króliczych przebywa podczas słoty, lub niebezpieczeństwa cała królicza rodzina. Spokojnie i zgodnie siedzą obok siebie stare i młode ciocie, siedzi dziad obok wnuków i prawnuków, ale niechno miłe zaświeci słonko i w okół zapanuje cisza, a krewniaki wynoszą się używać pod krzami świeżego powietrza, lub drzymać w gęstéj trawie. Lecz i na wierzchu ziemi rodzinna pomiędzy niemi panuje zażyłość. Często cała familia wesołym się tu oddaje pląsom, a nabawiwszy się do woli, skubie przygryzioną już znacznie pszeniczkę. Królik nie zawsze czeka z stypą nocy, jak to zając czyni, ale i w dzień na pastwisko wychodzi, jeźli się tylko bezpiecznym być mieni.

Lecz wróćmy do małżeńskiéj pary. Często w zwyczajnéj norze mieszkalnéj, ale czasem i w umyślnie na ten cel wykopanéj dziurze, lęże samica na podściółce z własnéj tchórzycy 4 do 8 młodych. Nory te położnicze znajdują się zwykle w zbożu przy lesie, lub też w ogrodach w miękko spulchnionych zagonkach, a tak miałko ciągną się pod ziemią, że się do nich zarwać można. Jedyny do takiéj kołyski prowadzący otwór jest zwykle z wierzchu zasuty ziemią, by nie był widzialnym. Drzwi te, jeźli się tak wyrazić można,

zamyka samica, gdy od młodych na żer wychodzi, lub samiec, gdy jego połowica u dzieci przebywa. Młode króliki są jeszcze ślepe, gdy równo stare zajączki już same o sobie radzić muszą. Gdy dzień jest pogodny, wyprowadza je czuła matka na świeże powietrze, daje im lekcye w kopaniu nór, pokazuje im słodkie trawki, a uszczęśliwiony ojciec stoi z boku na straży. Mnożność królików jest nadzwyczajną, gdy bowiem zważym, że samica przy korzystnych warunkach 8 razy do roku lądz może, a za każdą razą świat 7 uszczęśliwić młodemi, otrzymamy po upływie trzech lat olbrzymią sumę 1,247,840 królików. Młoda samiczka po 6 miesiącach wieku wchodzi w związek małżeński. Nadto młodych królików daleko się też mniéj marnuje, jak zajęcy, gdyż złożone w sztucznéj norze podziemnéj nie są wystawiane ani na mróz, ani na słotę, ani ich też lis, ni żaden inny nie dosięże rabuś. Wyliczona co dopiero suma jest przecież bezwątpienia trochę za wysoką, gdyż ją na najwyższych możebnych oparłem czynnikach, lecz zmniejszona o połowę, wykaże nam jeszcze ogromną, choć wcale nie przesadzoną liczbę 623,920 królików. Do jakiéj liczby ta gromada w 4 rozrośnie lata, nie trudno obliczyć! Kto więc chce mieć wiele w swych dobrach zwierzyny, niech sprowadza króliki, a niech je przez kilka lat ochrania. Sprowadzka zaś ich jest obecnie łatwą, gdyż nie potrzeba po nie do południowéj Europy, a więc do właściwéj ich ojczyzny, ani nawet do zachodniéj, gdzie się bardzo rozmnożyły, posyłać, ale można ich już w Księstwie Poznańskiém w kilku nabyć miejscach, jak np. w dobrach miłosławskich, gdzie nietylkoby je sprzedano, aleby nawet temu chętnie zapłacono, coby je chciał zabrać. Króliki potrzebują wiele pokarmu i są w jego wyborze wybredne. Najmilszą ich strawą jest młoda ozminka i groszek. To też w bliskości swych siedzib przycinają te zboża o tyle, o ile w dzień przyrosły, są więc szkodliwsze od Tatarów, gradów i innych klęsk gospodarczych. Gdzie Tatarzyn przejdzie, tam tylko w jednym roku nie rośnie trawa, grad też nie co rok pada, ale królik rok rocznie niszczy przyległe mu zboża. W zimie zaś, gdy śnieg zakrywa pola, znęca się nad korą drzew rozmaitych, np. akacyi, grabiny, dębiny i brzeziny. Sośninę zaś tylko trochę przewiędłą obgryza i obłupuje. Że zaś sadzonki sosnowe, nim się zupełnie do nowéj przyzwyczają miejscowości, zwykle trochę chorują, a więc królik, jako doktór czuły, natychmiast je za puls chwytając, już to im czubki, już to igliwie boczne, już wreszcie całą obgryza korę. Smutny taki wypadek zauważyłem przed kilku tygodniami w lasach miłosławskich, w obrębie Kozubiec, dokąd mnie tamtejszy leśnik łaskawie zaprowadzić raczył. Z pól i lasów przechodzą króliki także do ogrodów, a biada wówczas marchwi, jarmużom, kapustom, biada wszelkiemu kwiatu polnemu! Lecz i w innym kierunku królik jest także szkodliwym. Minuje bowiem przy budowie nór ziemię, a przez to wiele psuje roślin. Grzebanie dziur do miłych jego należy zatrudnień, zwłaszcza w ziemi spulchnionéj, to też w lasach miłosławskich dotkliwie się przez to w miejscach świeżo obsadzonych sośniną dał w znaki. Czasem w ogrodzie pięknie z wieczora na klombie kwitną kwiatki, a nazajutrz nocą podważone lub wyrzuconym zasute piaskiem schną gwałtownie. Gdy króliki obiorą sobie za mieszkanie groblę lub tamę, mogą przez przedziurawienie téjże straszną spowodować powódź.



Tum w Gnieźnie. (Zobacz str. 174.)

Ruchliwość ich znów jest przyczyną, że przez nie zamieszkaną miejscowość każda inna opuszcza zwierzyna. Ciągle się kręcą a przez to niepokoją dziczyznę, zając nadto widocznie z pogardą schodzi z drogi przybylcowi z stron obcych. Spokrewnione powierzchownością dwa te zwierzęta w rzeczywiste pokrewieństwo w żaden sposób wchodzić nie chcą, chyba że się je przemocą i sztuką do tego zniewoli. W nowszych wprawdzie czasach donoszono o jakichś leporidach czyli mułach, które wszelkich błędów się wyrzekłszy, tylko cnoty obu stron przejęły, ale fakt ten nie potwierdził się dotychczas. W Francyi, gdzie tysiące codziennie konsumują królików, obliczono, że jedno takie zwierzę wartości susa, wyrządza szkody za luidora. Najsmutniejszą zaś jest rzeczą, że wytępienie królików po za ludzką leży mocą. W borach miłosławskich ubito ich w ostatnim czasie kilka set, ale ta tylko ztąd korzyść, że płoszone w swych ulubionych fortecach na okół się rozchodzą, na okół spustoszenie roznoszą.

W wielu miejscach polują na nie za pomocą łasicy leśnéj, (Mustella Furo), ale zwierzątko to tak jest ociężałém, że w norze, zkąd króliki wypędza, zasypia i w ogóle wiele i kosztownéj wymaga pieczołowitości.

Na wychodném, czyli na stanowisku nie trudno przez wieczór jednego, a najwięcéj trzech zabić królików, ale spokojniéj, jak na zająca, stać trzeba. Niechno się strzelec ruszy, a królik już za gęstym krzem tak głośno na niego tupa, iż trudno pojąć, że zwierzę to tak małe tak olbrzymią ma w skokach muskularną siłę. Tupanie podobne zauważamy i u królików swojskich, a nawet u owiec i sarn, a ma ono nie tylko gniew, ale i ostrze-

żenie przed grożącém niebezpieczeństwem oznaczać. Gdy strzelec na stanowisku tupanie takie usłyszy, musi z wstydem iść do domu, lub przynajmniéj w odleglejsze przenieść się miejsce.

Najłatwiejszym sposobem wytępienia królików byłoby wytrucie ich za pomocą napuszczonéj strychniną marchwi, ale przytém choćbyśmy marchew głęboko nawet do nory wkładali, mogłaby się i inna otruć zwierzyna. Ostateczności więc téj wcale nie polecam.

M. L.

Tum w Gnieźnie.

(Z ryciną. Zobacz str. 173.)

Za pogańskich czasów stała w Gnieźnie na górze Lecha świątynia Niji, bogini śmierci (nie ja); i tu téż wystawił Mieczysław I kościół drewniany pod wezwaniem Wniebowzięcia N. Maryi Panny. Niedługo stała ta pierwotna świątynia Pańska, gdyż w maju roku 1018 spłonęła ze szczętem. Wróciwszy Bolesław Chrobry z wyprawy kijowskiéj, okryty sławą i bogactwy, zbudował nowy kościół i po królewsku go opatrzył. Lecz rozliczne nieszczęścia i klęski spadały na Gniezno, nieprzyjaciele, burze i ognie niszczyły miasto, niszczyły i kościół. Za Kazimierza Mnicha roku 1039 wpada Brzetysław, król czeski, do Polski, łupi Gniezno i jego kościoły, uwozi z katedry krzyż szczerozłoty, który według Kosmasa pragskiego dwunastu kapłanów ledwo udźwigło, bo sprawił go hojny Bolesław Chrobry trzy razy tak ciężki, jak jego osoba. I tu utrzymują Czesi, idąc za Kosmasem i Gallusem, że i ciało św. Wojciecha i Pustelników Kazimierowskich Brzetysław z sobą do Pragi uwiózł, ale X. Piotr Pękalski dowiódł, że Polacy są w jego posiadaniu. Już w roku 1508 ks. Juliusz Roggiero, nuncyusz papieski przy Zygmuncie Auguście, mając poruczone sobie od Piusa V wyśledzenie w tym względzie prawdy, opierając się na niezbitych dowodach, doniósł Ojcu św., że ciało św. Wojciecha rzeczywiście znajduje się w Gnieźnie.

Długo się nie mógł podźwignąć tum gnieźnieński; dopiero arcybiskup Marcin I Zabawa odbudował go i poświęcił 1 maja 1097 roku w przytomności króla Władysława Hermana i jego żony Zofii, a Zdzisław (1184—1199) znacznie go przyozdobił. Lecz niema prawie wieku, w którymby nowe klęski nie spadły na tę Matkę kościołów polskich: w roku 1331 łupią go Krzyżacy, roku 1455 piorun go niszczy, w roku 1613 dnia 27 kwietnia pali się prawie całe miasto, i kościół ten zapada w gruzy. Był wtenczas arcybiskupem Wojciech Baranowski i on i jego następcy: Warzyniec Gembicki (1615—1624), Jan Wężyk (umarł 1638), a szczególnie Maciéj Łubieński (1611—1652) przyczynili się najwięcéj do odbudowania i upiększenia katedry gnieźnieńskiéj; lecz roku 1760 pali się na nowo, i ówczesny arcybiskup Władysław Łubieński nie szczędził swych dochodów i z szczodrobliwości jego powstał na nowo z gruzów tum gnieźnieński. — Oto krótkie jego dzieje!

Po tak częstych pożarach odnawiano ten kościół w niejednym wieku, a że styl w budowie często się zmieniał, nie dziw, że i tu niejeden styl napotykamy i nie znam kościoła, w którymby taka mieszanina stylów panowała, jak w tumie gnieźnieńskim.

Łepkowski o zabytkach Kruszwicy, Gniezna i Krakowa itd. powiada na str. 46: „Katedra w rozkładzie tylko swoim zachowała ślad pozwalający się domyślać, że ją pierwotnie w romańskim zbudowano stylu. Wielokrotne restauracye po częstych przedsiębrane pożarach, zostawiły jéj tylko w bocznych nawach i prezbiteryum charakter z czasów przechodu ostrołuków w odrodzenie, nakoniec panuje rokoko i ciężkie ornamenta, jakiemi wiek 18 zwykle ubierał kościoły.“ Wszystko to prawda, ale pierwiastkowa katedra była zbudowana w byzantyńskim stylu, jak to nam jasno pokazuje dawny obraz na pergaminie. A tak widzimy tu styl byzantyński, romański, gotycki, odrodzenia i rokoko. Kapitularz i ściana chórowa, do któréj jest przybudowany, to jest najstarsza część kościoła zapewne z pierwotnéj budowy, krużganki są gotyckie, w kształcie gwiazd sklepione z cienkiemi i wysokiemi słupami. Gotyckie sklepienie nawy wspierające się na 14 filarach znikło, zamieniono je na okrągłe romański; a zamiast okien ostrołukowych gotyckich, mamy również okrągławe; — kaplice zaś prawie wszystkie są w stylu odrodzenia. W ogóle przeważa charakter budowy z 17 i 18 wieku. Wielki spadzisty dach wznosi się na białych murach, a drugi nieco niższy na 14 kaplicach.

Cały kościół ma 200' długości prócz krużganków i starego kapitularza pod chórem, a szerokości 80' oprócz kaplic, wysokość jego pod dach wynosi 92', a z dachem 160'. Od strony zachodniéj wznoszą się 2 wieże po 290' mające, zbudowane w stylu 18 wieku, nie odpowiadają budowie kościoła.

Ołtarz wielki, pięknéj budowy, okazałą ma postać, po 8 marmurowych stopniach wstępuje się do niego, a sześć filarów dodaje mu jeszcze uroku; zbudował go arcybiskup Wład. Łubieński.

Na środku kościoła znajduje się ołtarz św. Wojciecha z srebrną trumną. Pierwotną trumnę sprawił Zygmunt III roku 1620, ale Szwedzi ją zabrali; dzisiejsza jest darem ks. sufragana Pilchowicza roku 1652; dawniéj był tu wielki grobowiec wsparty na 4 wysokich marmurowych filarach, który sprawił arcybiskup Maciéj Łubieński, ale arcybiskup Przyłuski zniósł ten cały grobowiec, ażeby widok od chóru otworzyć na cały kościół. Przed tym ołtarzem co niedzielę i święto śpiewa się starożytna pieśń św. Wojciecha Boga Rodzico z zapisu ks. kanonika gnieźnieńskiego Franciszka Raczyńskiego r. 1737.

Głowa św. Wojciecha znajduje się w srebrnym relikwiarzu z 14 w. W 8 polach masz rzeźbę wyobrażającą sceny z życia tego św. naszego Patrona; również jego dzieje masz wyryte na sławnych drzwiach śpiżowych w 18 obrazach. Te drzwi niejednego już obudziły ciekawość, Edward Raczyński nazwał je śpiżową kroniką św. Wojciecha, Lelewel je szczegółowo opisał; wysokości mają 5 łokci, szerokości 2 łokcie 16 cali. Ks. Koszutski utrzymuje, że Bolesław Krzywousty kazał je w Polsce zrobić; ogólne zdanie jest, że je przywiózł Bolesław Chrobry z Kijowa, styl byzantyński także pokazuje, że pochodzą z Kijowa.

Znajduje się jeszcze w tumie gnieźnieńskim ewangeliarz św. Wojciecha; jest to bardzo stara książka zdobiona malaturą z 10 wieku w stylu romańskim; udowodnić to można z pewnością z dedukcyi świąt, że 10 sięga wieku.

Obok katedry, w osobnéj wieży wisi wielki dzwon, Wojciechem zwany. Jeden tylko Zygmut krakowski dorównywa mu ogromem rozmiarów i potęgą głosu, ma bowiem średnicy 4 łokcie, a wysokości $2^3/_4$ łokcia. Władysław IV, królewicz polski, po powrocie z Moskwy roku 1621 kazał ulać z zabranych dział dzwon dla tumu gnieźnieńskiego ale w pożarze kościoła stopił się. Arcybiskup Teodor Potocki kazał go przelać roku 1726 Michałowi Wittweskowi z Gdańska, i dał za samo przelanie 10,000 złotych i dwa popiersia srebrne. — Na środku dzwonu pod figurą św. Wojciecha stoi napis: Głosu mego słuchać będą.

O jakiż urok wywiera zawsze na mnie widok katedry gnieźnieńskiéj! Co za obrazy przesuwają się przed memi oczyma! Tu góra Lecha, — tu Bolesław Chro-

bry koronowany pierwszy na króla polskiego, tu pielgrzymuje Władysław Herman, Bolesław Krzywousty, Władysław Jagiełło, Jan Olbracht, Zygmunt II z królową i królewiczem Władysławem; tu brzmi pieśń Boga Rodzico, pieśń bojowa praojców naszych, tutaj spoczywa św. Wojciech, co za niewiernych Prusaków przelał krew swoją; tutaj z dział moskiewskich ulany Wojciech budzi nas swém sercem spiżowém z uśpienia; — tutaj co krok to pamiątka radosna lub smutna, ale zawsze droga sercu polskiemu i katolickiemu. X.

Nieco o Towarzystwach wstrzemięźliwosci.

(Dokończenie.)

Oto jest wykaz liczebny Irlandczyków zapisanych w księgi ojca Mathew:

W roku	1838	150,000.
„ „	1839	710,000.
„ „	1840	1,220,000.
„ „	1841	1,108,000.
„ „	1842	1,162,000.
„ „	1843	880,000.
„ „	1844	410,000.

Blisko więc sześciu milionów, i to w saméj Irlandyi, to jest prawie cała jéj katolicka ludność. Lecz powie może kto, że było zapewnie wielu odstępujących. Według świadectwa jednak samego Ojca Mathew tylko 1 na 500, trafiał się przypadek odstępstwa a i w tym razie bardzo wielu powracało.

Każdy szczegół tyczący się tak znakomitego człowieka wart jest zapisania. Dla tego godzi się tu przytoczyć następujący wyjątek z listu jednego z Polaków, który podróżując po Irlandyi w 1844 odwiedził ojca Mathew: „Do świętych, choć w ziemiach angielskich, nie potrzeba listów wstępnych. Udaliśmy się wprost, mówiąc, żeśmy przybyli do Corku głównie dla poznania jego osoby. Grzeczność tę naszą przyjął z prostotą i podziękował serdeczném uściśnieniem ręki. Ojciec Mathew ma już blisko lat 50. Młodo jednak na swój wiek wygląda. Więcéj niż średniego, raczéj wysokiego wzrostu, tuszy miernéj, silnéj, toż cery zdrowéj choć bladawéj twarzy owalnéj, średnio-pełnéj; oko jasne, czoło wysokie, nos orli, włosy ciemne już się śrebrzeć poczynają; słowem, fizycznie piękny mężczyzna, a usta i wejrzenie i całe ujęcie dziwnie gościnne, proste, łagodne, uczciwe. Ruch żwawy, ale nie gwałtowny, jako człowieka wciąż zajętego. Czekało nań już kilkanaście osób, mężczyzn, niewiast, ochotników pod świętą chorągiew trzeźwości. Zobaczycie zaraz (rzekł do nas), jak będę dawał pledge, czyli zobowiązanie się. Kazał uklęknąć i po krótkiéj nauce polecił powtórzyć za sobą w angielskim i staro-irlandzkim języku formułę przyrzeczenia. Potém z kolei błogosławił wszystkich, znacząc czoła krzyżem świętym. W ciągu dnia kilka razy tak się izba napełniała ochotnikami. Wieczorem dość już późno przybył piechotą wieśniak z Limerick o 60 mil angielskich. Niejeden na pożegnanie upije się raz ostatni ulubioną gorzałką whiskey. Rzadkie jednak bardzo złamanie raz wziętego postanowienia, choć to święte stowarzyszenie liczy przeszło 5 milionów członków w saméj Irlandyi, a milion w Anglii i jak spowiednicy zaręczają, że umierający z największym żalem i skruchą, a z wielkiém wylaniem łez, spowiadają się tego grzechu, uważając go za najcięższy. Ucieszyliśmy wielce ojca Mathew, donosząc mu, że i w Polsce zaczyna się podobna konfederacya, choć nie tak surowo, bo u nas piwo nie zabronione. Prosił nas na objad. Był to właśnie piątek i choć ryba była ciężka i tłusta (bodaj łosoś), musieliśmy poprzestać na wodzie, wprawdzie wybornéj, przy końcu tylko można było wybrać między filiżanką kawy lub herbaty. Rozstaliśmy się wieczorem w chwili, gdy naszego gospodarza zawołano do chorego. Pożegnał nas najuprzejmiéj, a mnie na pamiątkę książkę darował. Bogu zapewne wolno uczynić kogobądź narzędziem woli swojéj. Ciekawy przecież byłem wiedzieć szczegóły życia przeszłego kochanego ojca celem przekonania się, czy nie zasłużył niejako sobie na ten wybór Bożéj zawsze daremczy i dowiedziałem się, że pochodząc z zacnéj i staréj rodziny i mogąc otrzymać bogatą puściznę po krewnych, aby tylko gwoli im chciał był pozostać na świecie, przy wszystkich darach osobistych, któremi go Bóg hojnie obdarzył i które mu mogły aż nadto zapewnić to tak zwane szczęście ziemskie, wolał się przecie dla miłości Boga, a duszy swéj i bliźnich pożytku, śluby zakonnemi związać, a z mienia swego wspaniały kościół Najwyższemu postawić.“

W roku 1842 i 1843 ojciec Mathew zwiedził Anglią i Szkocyą, gdzie po kolei objechał wszystkie rękodzielnicze miasta. Wszędzie przyjmowano go z uniesieniem. Szerokie place londyńskie wystarczyć tłumom nie mogły. Zdało się, że dawne różnice religijne znikły zupełnie. Najzagorzalsi protestanci garnęli się do świątobliwego mnicha. Do pół miliona było przyjętych w poczet wstrzemięźliwości podczas téj krótkiéj podróży.

Trudności pieniężne, pochodzące z kosztów na podróże, na medale, książki i zabawy, mające zastąpić ludowi dawne pijatyckie zebrania, uwikłały nieco Ojca Mathew pod koniec jego życia, snać aby do jego korony nie brakło cierni Chrystusowych. Skoro jednak wieść publiczna doniosła, że ten zacny mąż jest w kłopotach, posypały się hojnie składki, mianowicie od bogatych protestantów, które te trudności usunęły. Spokojnie więc mógł dokonać swego żywota, tylu trudami zbyt skróconego, lecz zostawiającego po sobie dzieło niepożytéj trwałości.

U nas pierwsze zabiegi w tym kierunku poczęły się około 1844 roku. Ks. biskup Jan Kanty Dąbrowski głównie zajmował się tą sprawą przy pomocy wielu innych gorliwych kapłanów i obywateli. Objeżdżał parafie i Towarzystwa wstrzemięźliwości w nich zakładał. Świadkiem tego są krzyże w wielu miejscach postawione na pamiątkę odbytych uroczystości. Bardzo piękny krzyż taki stoi pod Krzywiniem. Z czasem ruch ten osłabł. Dopiero dzisiejszy Arcypasterz skwapliwie zajął się wskrzeszeniem tak zbawiennego przedsięwzięcia i dzieło poczęte przez swego poprzednika, śp. Arcybiskupa Przyłuskiego, prowadzi do coraz świetniejszego rozwoju. Wyjednał dla bractw Wstrzemięźliwości dwa odpusty, wydał odnośne dekreta, zatwierdzone przez kongregacyą dekanalną, odbytą w sierpniu roku zeszłego, a teraz wizytując kościoły na prowincyi, wszędzie daje zachętę i budzi gorliwość. Zewsząd téż dochodzą wiadomości o coraz liczniejszych zastępach bractw trzeźwość ślubujących.

Wiadomo, jak sprawa ta, tak nagła i konieczna, osobliwie dla naszego kraju, poczynała się okazale rozkrzewiać w Królestwie i innych ziemiach polskich pod rządem rosyjskim i jak błogie już przynosiła owoce. Ale pod tym rządem nic szlachetnego, nic wzniosłego ostać się nie może. Z szatańską prawdziwie złością rzucił się przeciw jedynemu środkowi wytępienia najgorszych wad w naszym ludzie a podniesienia go w oświacie i dobrobycie. Już dziś ani śladu tam nie zostało zbawiennego apostolstwa, do którego nauk tak chętnie i tak mnogo lud się garnął. Tém większy przeto ciąży na nas obowiązek, nie tylko podtrzymywania téj sprawy tak wysoko, aby był wzór i otucha na całą Polskę, ale doprowadzenia jéj do doskonałości.

Otóż doskonałością w tym zakresie nie jest umiar-

kowanie, ale zupełna, bezwzględna trzeźwość. Na tę też zasadę duchowieństwo kładzie teraz główny nacisk. Lud lepiéj rozumie i łatwiéj wykonywa każdą powinność całkowitą, niedopuszczającą wyjątków i stopniowania. Od obywateli przeto obecnie najwięcéj zależy pomyślność dzieła, a zapewnią ją, jeżli zaniechają wszelkich ustępstw, jakiém jest na przykład częstowanie wódką w czasie żniwa. To właśnie naczelny punkt, najważniejszy krok, który pozostaje do zrobienia. Skoro usuniętym zostanie przesąd, że wódka w pewnych porach roku, w czasie upałów i przy niektórych cięższych pracach konieczniè jest potrzebną do wzmocnienia sił w człowieku, wtedy już niewątpliwie sprawa ostateczne odniesie zwycięztwo. Umiarkowanie może być dobrém, jako przejście od nałogowego pijaństwa do trzeźwości. Probierczą tę szkołę lud nasz powinien był już przejść w 25letnim okresie dotychczasowych prac i ćwiczeń na tém polu. Oto teraz czas na wyższą cnotę, niechby odtąd poczęła się doba zupełnéj trzeźwości.

Właśnie ku temu w porę przybywa doskonała książeczka, wydana nakładem ks. Bażyńskiego, pod tytułem: Pijaństwo, zguba i nędza włościan. Każdy, czy obywatel, czy kmieć, czy mieszczanin, powinienby mieć ją u siebie. Znajdzie on w niéj Statuta Bractw Wstrzemięźliwości, postanowione dla archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiéj, a rozmyślając nad jéj osnową, przekona się, jeżli jeszcze brak'o mu co do przeświadczenia w tym względzie, że aby lud nasz mógł się dźwignąć z ciemnoty, aby nie potrzebował pozbywać ojcowizny w ręce obce, aby zajaśniał moralnością i czystém poczuciem narodowém, zgoła, aby stał się głównym żywiołem i podstawą narodu w przyszłości, musi począć od wyrzeczenia się téj głównéj przywary, która dotąd nie dozwala mu stanąć na wysokości swych obowiązków i powołania.

K.

ROZMAITOŚCI.

Bogactwo mieszczaninów krakowskich.

(Wyjątek z inwentarza białoskórnika krakowskiego z r. 1644.)

Inwentarz dóbr po nieboszczyku panu Wolgsteinie Kryzie, białoskórniku krakowskim pozostałych, a przez panią Zofią Bochwicównę, małżonkę jego, przy panach opiekunach niżéj podpisanych i świadkach według jego testamentu uczyniony. — Naprzód zostało gotowych pieniędzy, odprawiwszy pogrzeb, jedenaście tysięcy pięćset dziewięćdziesiąt i siedem złotych. Item wołowych skór surowych 1149.— It. jelonek wyrobionych 34, baranich wyrobionych 1,700. — It. baranich w robocie 800. — It. baranich surowych 900. — It. kozłowych surowych 35. — It. sadła półpiętéj beczki. — Item srebra robionego różnego pozłocistego i białego 39 grzywien, 8 skojcy i dwie kwintle, którego się wprzód przed nowym działem na 3 synów wydzieliło według testamentu nieboszczykowskiego, tak jako pani wdowie łyżki okazane, które się w to nie kładą, ważyły po sześć grzywien. — It. Zostało złota robionego w różnych pierścionkach za czerwonych złotych 24 i pół, którem się też zaraz na części losem podzielili. — Item cyny kamieni 20, mosiędzu kamieni 2, miedzi sztuk 30, z osobna dwie wanny miedziane. — Pościeli sztuk 21 z powłokami. Obrusów 12. Ręczników cienkich 5, grubych 10. Koszul 12. Żupanów 3 falendyszowych. Delie 4 letnie. Dwie delie szlamami podszyte (u trzech delii guzy srebrne). Kołpaków 2, jeden lisi a drugi marmurkowy i kapelusz jeden. Na długach u różnych osób, na co są w domu zastawy i membrany, złotych pol. 26,844. — Item, opowiedziała pani wdowa, że zostało dóbr stojących pięcioro, tj. dom częścią murowany, częścią drewniany, w którym nieboszczyk mieszkał i ona teraz mieszka, przy którym jest naczynie do rzemiosła białoskórniczego. Drugi dom drewniany na téjże ulicy Krupniczéj, z ogródkiem. Trzeci ogród niemały w tyle na téjże ulicy z domostwem. Czwarta kamieniczka na Szerokiéj ulicy (dziś zwana Karmelicką), tuż przed Piaskiem z ogródkiem. Piąty dom,. wedle téj kamieniczki, Walmanowski nazwany, który z nieboszczykiem spólnie kupiła. Przeznaczył nieboszczyk do ołtarza białoskórniczego na fundusz zł. sto.

P. K.

Zbrodnia popełniona we śnie.

Roczniki medycyny sądowéj przytaczają liczne przypadki zbrodni we śnie popełnionéj. W pobliżu miasta Naumburga około r 1840 mieszkała pewna familia na pustkowiu, w okolicy, gdzie się często powtarzały nocne napady i rabunki. Ojciec i syn téjże rodziny nie wyjeżdżali nigdy w podróż bez palnéj broni. Napadnięci pewnego razu przez bandę opryszków zawdzięczali swe ocalenie rączości koni i przybywszy do domu, zasiedli w gronie familijném do herbaty, opowiadając, co im się przydarzyło. Wywiązała się z tego rozmowa o ciągłych napadach i nocnych rabunkach. Około godziny 11 wieczorem całe towarzystwo rozeszło się na spoczynek. Panie zostały na dole, syn i ojciec poszli na pierwsze piętro, zabrawszy dla ostrożności z sobą fuzye; każdy położył się w osobnym pokoiku, który był połączony podłużną alkową nie mającą ani z jednéj ani z drugiéj strony drzwi. W godzinę późniéj panie i służba cała została zbudzoną nagłym wystrzałem; udali się wszyscy na górę i zastali syna załamującego ręce w alkowie nad umierającym ojcem. Strzał padł z ręki syna, w kilka minut ojciec nie żył. Po kilku dniach stał syn obżałowany przed kratkami na sądzie w Naumburgu. Przy śledztwie opowiadał on nieszczęśliwy ten wypadek następnie. Śniło mi się, że ktoś wdziera się do alkowy, że jakiś złodziéj chce się do mego pokoju dostać. Nagle zbudziłem się wystrzałem, gdym przyszedł do siebie w pierwszéj chwili wzruszenia, spostrzegłem, żem siedział na łóżku z fuzyą w ręku. Zapaliłem świecę wybiegłem do alkowy i znalazłem ojca w krwi zbroczonego.

Takie było zeznanie winnego, od ojca nie można się było już niczego dowiedzieć. Dr. Hecker przywołany przez sąd jako lekarz do zbadania stanu umysłowego obżałowanego syna, oświadczył, że tenże był bardzo wrażliwy i ulegał podczas snu najlżéjszym wrażeniom. Sąd wytłómaczył sobie całe zdarzenie w ten sposób, że ojciec musiał się podnieść z łóżka i wyjść do alkowy, że syn we śnie już pogrożony pod wrażeniem szelestu, zaczął śnić o napadzie złodziei, że skutkiem tego podniósł się, chwycił za broń i wystrzelił. Innego tłómaczenia nie było, gdyż syn jedynak był największym ulubieńcem ojca. Nieszczęśliwy został uwolniony.

Gr.

Szarada.

Pierwsze zdobi lub szpeci, lecz tylko płeć ładną,
Drugie straszne i groźne, gdy kogo opadną,
Całe zaś w ciepłych krajach bardzo pożądane
Żywią ludzi tysiące — a nam z mydła znane.

(Rozwiązanie szarady w nr. 20: ***Korale***.)

SPROSTOWANIE.

W nr. 20 w ostatnim łamie na dole czytaj Sobótka zamiast Sobódka.

Wiadomość o nowych książkach.

Biblioteczka ludowa polska. Paryż. Księgarnia Luksemburgska.

Tom 39. Królowie polscy z popiersiami $2^1/_2$ sgr.
„ 54. Gorecki Antoni. Pieśni $2^1/_2$ sgr.
„ 55. Kiliński, Jan. Pamiętniki. $2^1/_2$ sgr.
„ 56. Ostrowski Lichwiarz. Komedya w trzech aktach podług Szekspira: Kupiec wenecki. $2^1/_2$ sgr.

Bolesławita, B. Omnibus. Zeszyt III. 48 str. 6 sgr.
Goszczyński, Seweryn. Posłanie do Polski. Z ryciną. 25 sgr.

PUSZKA DO LISTOW.

Panu K. Sz. z Piwody w Gal.: Dziękujemy; w najbliższym numerze zamieścimy. — Panu J. Zaw. w Bogd. Odesłaliśmy. Panu D. z pod Y: Prosimy o częstszą pamięć. — Panu W. D. w Mur. Gośl.: Dobre, ale prosimy o rozwiązanie. Redakcya Sobótki posiada wprawdzie przywilej zamieszczania szarad, ale bynajmniéj trafnego ich odgadywania. — Panu T. K. pod G. Dziękujemy.

Korespondentowi z pod Janowca do Dziennika Pozn. Odpowiadamy za nasze i przodków naszych grzechy. Podobnośmy zawinili. Śmiertelnikom przytrafia się to często na tym podole płaczu. Grzeszą sprawiedliwi siedem razy na dzień jeden, dla czegożby Sobótka nie miała zgrzeszyć raz jeden na dni siedem. Może i słuszne zarzuty do pewnego stopnia, nie przeczymy. Co do nr. 18 rozważając wiele innych względów, czy zechciał Szanowny Korespondent i to rozważyć, do jakiego stopnia mogą dochodzić osobiste uroszczenia „rekonwalescentów“, że nieraz stoją po za ostatnim stopniem Celsiusza! Mamy mocne przekonanie, że byłby zmienił swoje zdanie. Za dobre życzenia dla Sobótki dziękujemy mu szczerze.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ulica nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.